



Fot. archiwum prywatne Patryka Pufelskiego

Z Patrykiem Pufelskim
rozmawia Anita Jarzyna

Ludzie i inne zwierzęta w nowym ZOO

Anita Jarzyna: Tytułem wstępu postaram się wytłumaczyć z kierunku, w jakim chciałabym poprowadzić naszą rozmowę. Twój *Pawilon małych ssaków* jest książką unikatową z wielu powodów – jako dziennik zgłoszony w konkursie na pamiętniki osób LGBTQ+, współorganizowanym przez Pracownię Badań nad Historią i Tożsamościami LGBTQ+, także jako opowieść ze środka nieortodoksyjnej społeczności żydowskiej w dzisiejszej Polsce i wreszcie – co chciałabym podkreślić – jako niespotykana próba przedstawienia rzeczywistości ogrodu zoologicznego. Nie chodzi o to albo najmniej o to chodzi, że wyłania się z Twoich zapisków narracja afirmatywna wobec ZOO, ale przede wszystkim o to, że bierze się ona z wnętrza praktyki opiekuńczej, z relacji z konkretnymi zwierzętami. Skłania – mnie w każdym razie skłoniła – do skorygowania lub zniuansowania krytycznego myślenia o ogrodach zoologicznych, pochopnej oceny sytuacji zwierząt w nich żyjących, ich codzienności. Do skonfrontowania się z wyobrażeniami o rezydentach

jako o więźniach czy eksponatach (które to wyobrażenia były zresztą eksplorowane szesnaście lat temu w numerze tematycznym „Czasu Kultury” zatytułowanym *Zo/opozycje*). Dzięki Twojej książce można sobie choćby uświadomić, że krytykując ZOO, łatwo popaść w wiktyimizujące myślenie o zwierzętach, również pozbawiające je podmiotowości. W tym sensie *Pawilon...* wpisuje się w poszukiwanie nowych nieantropocentrycznych języków i komplikuje te postulaty, ponieważ emancypacyjną narrację wyprowadza z miejsca, w którym moglibyśmy się jej nie spodziewać, a zarazem rewiduje pewne nierealistyczne, jak pokazujesz, założenia. Jest więc *Pawilon...* książką o ludziach, a na pewno o człowieku w ZOO, o wielowymiarowym doświadczaniu relacji międzygatunkowych – pojedynczego człowieka z pojedynczymi zwierzętami. I z tego powodu ciekawie rezonuje z tematyką tego numeru „Czasu Kultury”.

Zmierzam wreszcie do pierwszego pytania: czytując się w tytuł Twojego dziennika, wpatrując się w świetną okładkę (zaprojektowaną przez Przemka Dębowskiego), na której postać ludzka tyleż wylania się z tła, które tworzą otaczające ją zwierzęta, co wtapia w nie, zastanawiam się, czy żyjąc, pracując w tak zróżnicowanym gatunkowo środowisku, czujesz się mniej albo inaczej człowiekiem. Czy znajdujesz w ten sposób dostęp do pozaludzkiej perspektywy?

Patryk Pufelski: Często zastanawiam się, czy i jak można myśleć z perspektywy zwierząt. Ciekawe, że bardzo tego chcemy i widoczna jest potrzeba zauważania ich perspektywy, ale mało komu to się udaje. Choćby nie wiem jak inkluzyjni staralibyśmy się być, mówiąc o zwierzętach i ich podmiotowości, o naszych relacjach z innymi zwierzętami, jesteśmy skazani na porażki. Wydaje mi się, że właśnie ta świadomość niemożności, świadomość błędzenia, wiecznego szukania i prób może być tym najmocniejszym gestem nieantropocentrycznym – uczciwym wobec każdej strony: naszej i innych zwierząt.

Jaką rolę w takim razie zwierzęta odgrywają w Twoim pisaniu? W pisaniu diarystycznym, pamiętnikowym, które jest pisaniem siebie? Czy też, jeśli wolisz, jaką rolę pisanie odgrywa w Twoich kontaktach z nimi?

Ponieważ ta książka nie powstała na zamówienie, z wieloma sprawami, dzięki spotkaniom autorskim, rozmowom, konfrontuję się dopiero teraz. To jest jedna z nich. Nie myślałem wcześniej, co wynikałoby z mojego sposobu pisania dla tego, jak można budować relacje ze zwierzętami. Ale wydaje mi się, że ze spotkań z nimi

mam w zasadzie to samo, co ze spotkań z ludźmi, czyli mogę nauczyć się czegoś o sobie. Najczęściej jest to przynajmniej pożyteczne. Nie zawsze łatwe. Choćby na podstawowym poziomie, jak ścieranie się granic, przyglądanie się z boku swoim zachowaniom. Ludzie mówią. Zwierzęta mają z kolei cały szereg sposobów pokazywania, co myślą, jak odbierają jakąś sytuację. Dają mi znać, kiedy za szybko się ruszałem albo zrobiłem coś gwałtownego, co się komuś nie spodobało. To zazwyczaj jest pouczające.

Przy czym co innego wynika ze spotkania ze zwierzętami, a co innego z obserwowania tych, które są mi obce, ale podobnie jest przecież z ludźmi.

Zapytałam o to, ponieważ odniosłam wrażenie, że praca ze zwierzętami w ZOO stała się motorem dla Twojej książki. Zaznaczałam sobie zapiski poświęcone w całości tej tematyce, wprawdzie nie policzyłam ich, ale wydaje mi, że bez nich *Pawilon...* nie mógłby powstać, tak licznie go wypełniają. Właściwie zaryzykowałabym obserwację, że choć wysłałeś swój dziennik na konkurs pamiętnikarski osób queerowych, to *Pawilon...* bardziej niż książką o tożsamości polskiego geja jest książką o pracy w ZOO. Co wydaje się krzepiące z wielu powodów. To ciekawe także dlatego, że ogród zoologiczny widziany od wewnątrz, czyli nie z perspektywy odwiedzającej go osoby, nie ma zbyt dużej reprezentacji w kulturze. A u Ciebie zwierzęta wręcz uruchamiają narrację, wcale przecież nie prostą.

Na pewno tak było, bo zwyczajnie miałem o czym pisać. Nagle zrobiło się gęsto od nowych spraw, osób – kolegów i koleżanek z pracy, podopiecznych. I to już nigdy nie puściło. Odtąd nie miałem ani jednego dnia, kiedy nie pracowałbym w ZOO. A ZOO jest jak soczewka życia – przypomina małe miasto, codziennie ktoś umiera, rodzi się, wykluwa, choruje i tak dalej.

W tym numerze „Czasu Kultury” interesują nas biografie zwierząt – w największym skrócie – z jednej strony jako forma potencjalnie umożliwiająca wydobycie ich podmiotowości, z drugiej obciążona ryzykiem opresyjnych ujęć i nadużyć. Stąd nasuwa się pytanie: czy ogrody zoologiczne na własny użytek wytwarzają biografie zwierząt? Czy w nich (i w jaki sposób) manifestują się indywidualne nieludzkie tożsamości?

Każde zwierzę w ogrodzie zoologicznym ma swoją kartotekę. Są w niej informacje, gdzie dany osobnik się urodził lub wykluł, jakich miał rodziców. Ale może znaleźć się w niej też sporo innych

danych. Wiele zależy od osób prowadzących kartoteki. Oczywiście ich zróżnicowanie wynika również ze specyfiki danego gatunku. Na przykład grupa mrówek grzybiarek ma kartotekę mało konkretną, nie będzie w niej nawet informacji o liczebności mrowiska, bo ta jest niestabilna. Zupełnie inaczej wygląda kartoteka starej słonicy, która przecież zmienia się, choruje, ma obszerną dokumentację weterynaryjną. Dlatego ujednolicony szablon nie miałby sensu, nawet w obrębie jednego ZOO; osobno prowadzimy też notatki hodowlane. Wiele zależy z jednej strony od tego, czy zwierzęta są w treningu medycznym (jak nasze foki), wtedy można je na przykład częściej ważyć, bo nie jest to dla nich stresujące, a z drugiej strony – od tego, jak pracują ich opiekunowie (w nowym czy starym stylu) i jakie mają możliwości logistyczne.

Oprócz tych kartotek zrzeszone ogrody zoologiczne (czyli takie, które zachowują standardy niewynikające tylko z krajowych czy unijnych regulacji prawnych, a z członkostwa w branżowych organizacjach) zobowiązane są do przestrzegania międzynarodowego systemu identyfikacji osobników (ZIMS). Regularnie wprowadza się do niego informacje, choć i tu częstotliwość aktualizacji zależy od możliwości kadrowych danego ogrodu. U nas, we Wrocławiu, jest osoba, która robi to co tydzień – ze wszystkich raportów dziennych każdej sekcji. Z tym że to są informacje medyczne, hodowlane, nie wiem, czy stricte biograficzne.

Generalnie w ogrodach zoologicznych w wymiarze biograficznym znane są zwierzęta charyzmatyczne, takie, które miały imię, historię, związana jest z nimi narracja skupiająca społeczność. W Polsce zwykle były to słonie, w zasadzie słonice. W Poznaniu – Kinga, w Płocku – Petra (od Petrochemii), w jej sprowadzenie zaangażowało się całe miasto – Petrochemia w czynie społecznym zrobiła wybieg. Ta słonica, jak wiele innych tak zwanych dewizowych słoni, w wieku 5–6 lat została złapana w lesie, brutalnie oddzielona od swojej grupy rodzinnej, załadowana na statek w Kalkucie i przesłana transportem centralnym do Gdyni. Koszmar! W Krakowie też była Kinga, przywieziona tym samym transportem co Petra. Umarła w 2003 roku. Do tej pory pracownicy wspominają ją tak, jakby opowiadali o koleżance, mimo że o wielu zwierzętach mówią zdecydowanie mniej podmiotowo.

Poza tym środowisko opiekunów zwierząt jest różne w różnych krajach, wynika to też z ustawodawstwa. W Niemczech trzeba ukończyć szkołę zawodową, podobnie w Danii. U nas jeszcze do niedawna powszechnie przyjmowano osoby bez wykształcenia przyrodniczego, zoologicznego. Obecnie, na przykład we Wrocławiu, już nie ma miejsca na coś takiego. Co oczywiście ma wpływ na sposób pracy ze zwierzętami. Na przestrzeni ostatnich





lat wyraźnie zmienia się nastawienie opiekunów do zwierząt. Nie chodzi mi o to, że gorzej czy lepiej się nimi zajmujemy. Choć najczęściej lepiej, bo po pierwsze, mamy inne możliwości, a po drugie, szybko aktualizuje się stan wiedzy – nie tylko zoologicznej, zwłaszcza etologicznej – na temat różnych gatunków. Wydaje mi się, że coraz częściej staramy się podchodzić do nich partnersko. Przy czym nie chciałbym zostać źle zrozumiany ani wartościować, bo od tych osób ze „starszej szkoły” można się naprawdę wiele nauczyć. Choć zarazem nierzadko myślą o zwierzętach w sposób tradycyjny, radykalnie oddzielając je od ludzi.

Zasadniczo dużym problemem jest wciąż ujednolicejące postrzeganie zwierząt, bez uwzględniania ich odmiennych możliwości poznawczych, z wielu zresztą wciąż nie zdajemy sobie sprawy. Inaczej chyba trzeba by mówić o meduzie, inaczej o orangutanie. Nadal brakuje nam języka, który wyrażałby te dyspozycje, wprowadzał je do narracji.

Czy właśnie w obliczu takiego – nazwijmy je hodowlanym, populacyjnym – podejścia do zwierząt w ZOO, może niezupełnie świadomie, próbowałeś pisać o nich w sposób mniej oficjalny? Przecież Twoje notatki są w pewnym stopniu biograficzne – w odniesieniu tak do Ciebie, co oczywiste, jak i do nich. Czytając *Pawilon...*, żyjemy się z Twoją babcią Wusią, z Sufletem i Kłuskim, czyli fretkami, z którymi mieszkałeś, i z pojedynczymi pingwinami, choćby z Piratem – pingwinem z niepełnosprawnością, oraz kotikami: z Zuri, z Alfiem, którymi się opiekujesz. I od razu druga sprawa: czy zdarza Ci się je antropomorfizować – mimochodem albo zupełnie świadomie?

Podoba mi się taka możliwość odczytywania moich zapisków, choć wyszło to zupełnie nieświadomie. I mam poczucie jakiegoś zwycięstwa, to jest w zgodzie ze mną, z takim sposobem mówienia o zwierzętach, jaki wydaje mi się ważny. Bo o tym są te historie. To nie są notatki hodowlane, ale moje własne sprawy z podopiecznymi. Choć zarazem nie da się łatwo oddzielić tych dwóch trybów myślenia i pisanie w przypadku pracy opiekuńczej. Gdzie jest granica między czułym a rzeczowym podejściem? Nie postanowiłem, że spróbuję opisać zwierzęta tak, jak nikt ich nie opisuje. To zresztą nie jest prawda. Kiedy rozmawiamy w pracy o zwierzętach, robimy to w podobny sposób. Zastanawiamy się na przykład, czy w legowisku jest im wygodnie. Nawet obserwacje hodowlane dotyczące zachowań wymagają od nas opisu kontekstu, oczywiście trzeba być ostrożnym w interpretowaniu emocji zwierząt. Tu rzeczywiście nasuwa się kwestia antropomorfizacji,



zresztą wydaje mi się, że nie da się mówić o zwierzętach, zupełnie unikając antropomorfizacji, która jest dla nas odruchowa. Nie mam też poczucia, by była ona zupełnie zła, ale – wiadomo – otwiera pole do nadużyć, choćby związanych z tym, że w dobrej wierze naszą perspektywę przyjmujemy za obowiązującą w obszarze wymagań środowiskowych danego gatunku. Myślę też, że w tej sytuacji najważniejsze jest, by mieć świadomość takich skłonności i ograniczonych środków rozumienia zwierząt. A poza tym antropomorfizacja czasem może pomóc w rozpoznaniu zwierzęcej podmiotowości i jej rozumieniu.

Czy nie masz wrażenia, że z tak pojmowaną i używaną antropomorfizacją sprzężona będzie zoomorfizacja? Przecież nierzadko uświadamiamy sobie, że tylko pozornie antropomorfizujemy zwierzęta, mówiąc o jakichś ich zachowaniach albo cechach, które w istocie okazują się dla nich immanentne.

Oczywiście, dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy o podobieństwach między nami zaczęli myśleć od tej strony. Dlaczego człowiek to osoba, a wielbłąd nie, skoro biologicznie jesteśmy tak podobni? Dlaczego to jest zdychanie, a to śmierć, skoro dzieje się to samo?

Właśnie w kontekście podtrzymywania ostrej granicy między ludźmi a innymi gatunkami nasuwa się jednak pytanie, czy nie jest tak, że ogród zoologiczny jako instytucja z bardzo specyficzną historią umacnia takie podziały? Przecież przychodzimy

do ZOO zwiedzać, patrzeć na zwierzęta, jak pisał John Berger, wchodzimy w rolę widzów uprzedmiotawiających je. Taka postawa wydaje się tradycyjnie wpisana w wizytę w ogrodzie zoologicznym. Z tego, co powiedziałeś i co napisałeś, wynika, że bardzo zależy Ci na dostrzeganiu nieludzkiej podmiotowości. Chciałam więc zapytać, jak sobie radzisz z takim wyobrażeniem o ogrodach zoologicznych jako instytucjach w pewnym stopniu opresyjnych.

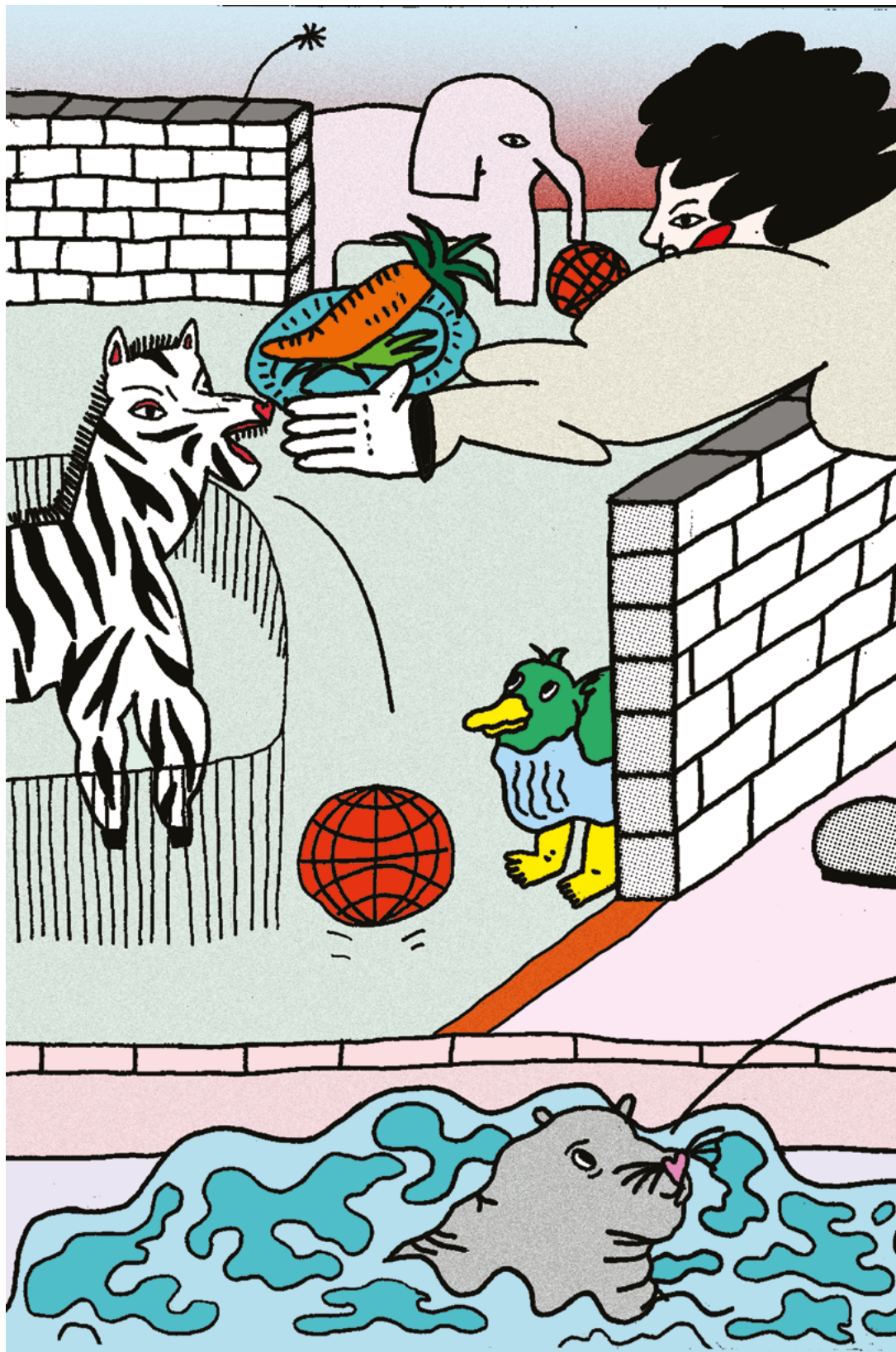
Przede wszystkim dotarło do mnie, kiedy przeczytałem książkę Magdy Moskal *Emil i my* o pracy opiekuńczej, jak jałowe bywają rozważania na temat tego, czy ogród zoologiczny jako instytucja umacnia przemocowy podział na zwierzęta i ludzi. Analogicznie szpital umacniałby podział na chorych i zdrowych, a przedszkole – na dzieci i dorosłych. I tradycyjnie wiąże się z tym szereg konsekwencji. Ale przecież hodowla jest tylko jednym z aspektów działalności ZOO i nie tym najważniejszym; równie istotna jest edukacja, a i ona znowu nie jest jednowymiarowa. Poza tym mamy cały repertuar nowych strategii, które powstały w wyniku przemian tej instytucji. Myślę zwłaszcza o strategiach, jakie wypracowuje i podsuwa nam nowe muzealnictwo, choć one też nie są jednoznaczne, mają sporo zalet, ale i wady. To przypadek ekspozycji immersyjnej, wielogatunkowej, która pozwala opowiedzieć historię danego środowiska, co jest dość trudne z perspektywy hodowlanej, bo generuje dużo więcej potencjalnie niebezpiecznych interakcji międzygatunkowych, ale dla psychiki zwierząt jest korzystne, dostarcza im bodźce, z którymi w warunkach naturalnych też by się spotykały. Dzięki takiej ekspozycji można na przykład opowiedzieć, jak wygląda las tropikalny, umieszczając człowieka w środku tak zaaranżowanego ekosystemu. Przy czym niektóre tego rodzaju rozwiązania trzeba odrzucić, bo mogą okazać się niebezpieczne dla zwiedzających. Inne będą angażujące i dla ludzi, i dla zwierząt. Nasze kotiki na przykład bawią się ze zwiedzającymi, wybierają sobie ludzi i wodzą za nimi wzrokiem, obserwują, gonią się z dziećmi: dziecko biega z jednej strony szyby, kotik płynie w basenie z drugiej. Jest takie ZOO w Nebrasce, gdzie wybieg czepiaków został częściowo połączony z placem zabaw dla dzieci, takim „małpim gajem”. Dzieci i małpy mogą się oglądać w różnych miejscach – przez okienka, widzą, że ich zabawki, drabinki są podobne. To jest świetne doświadczenie i dla małpich dzieci, które są w ten sposób stymulowane, i dla ludzkich dzieci, które być może zapamiętają to doświadczenie. I nie chodzi o to, żeby utrwaliły sobie, że małpy są fajne, wspaniałe czy szlachetne, ale żeby poczuły podobieństwo perspektywy.

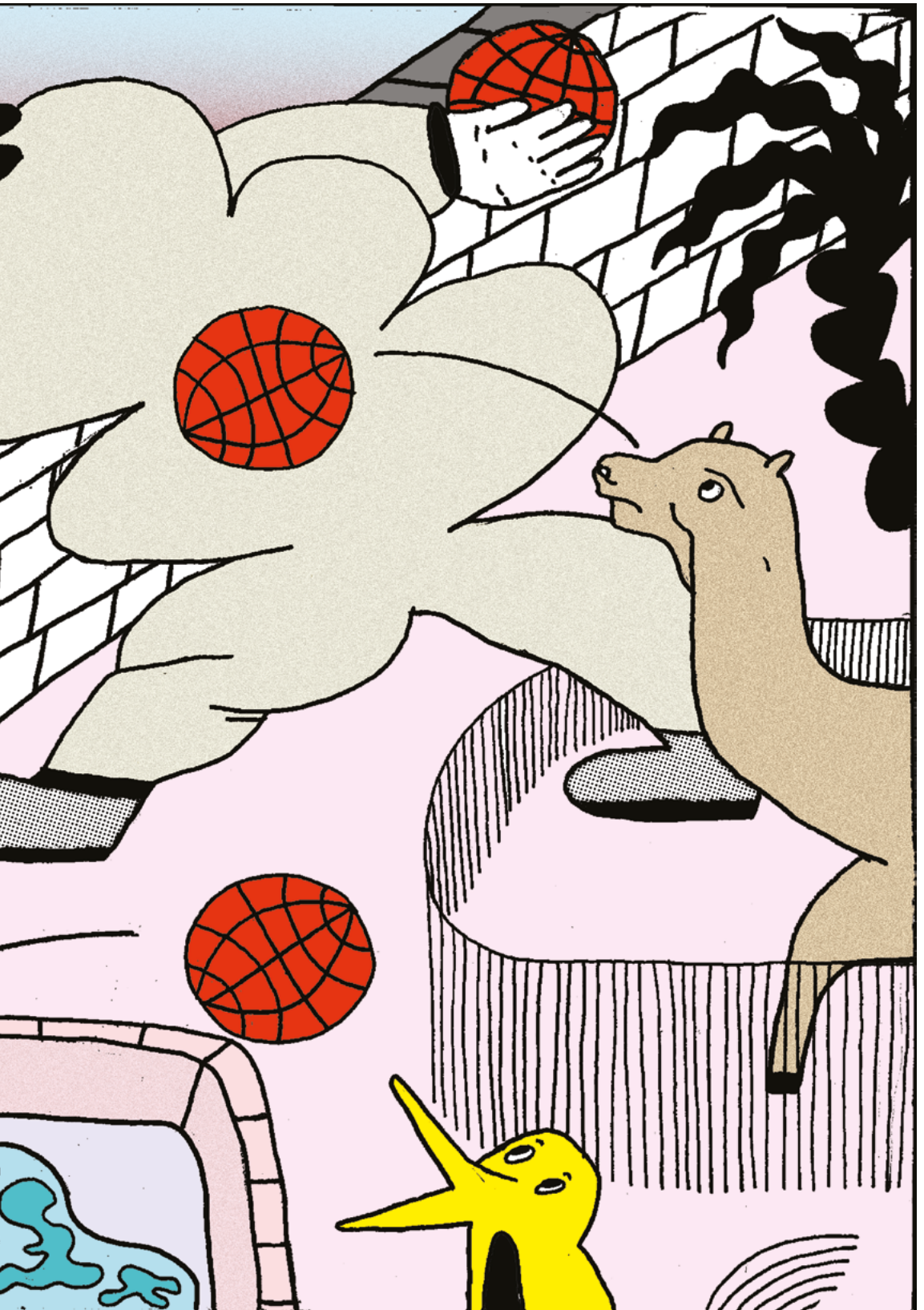
Jednocześnie te nowe strategie bywają obciążone innego rodzaju problemami, choćby kolonialną optyką. Czasem wprowadza się do ekspozycji elementy „etnograficzne”, tyleż specyficzne dla kultury danego regionu, ile egzotyżujące ją. Z tym mam spory problem.

Zamierzałam zapytać Cię o ideę ZOO bez zwiedzających, ale im dłużej rozmawiamy, tym mocniej się zastanawiam, czy nie byłoby ono jeszcze bardziej sztucznym tworem. Może właśnie ogród zoologiczny jest modelem życia w antropocenie?

Sądzę, że pomysły izolacji zwierząt jeszcze bardziej umacniają podziały między nami. W przekonaniu, że zwierzętom na pewno będzie dobrze, gdy znikniemy, jest jakaś pułapka. Z problemem stopnia ingerencji w ich życie można sobie próbować radzić tylko małymi krokami, nie propozycjami kompleksowych rozwiązań, które biorą się z przekonania, że jak rozdzielimy zwierzęta od ludzi, to one na pewno będą szczęśliwe. Myślę, że nie. W zasadzie prawie nigdy nie byliśmy odizolowani.

Ważne jest, abyśmy te relacje w ZOO starali się ułożyć możliwie po partnersku. Przede wszystkim dając zwierzętom wybór, jak i gdzie chcą spędzać czas. Czy chcą, żeby ludzie byli wokół nich i jacy ludzie. Często myślimy, że najważniejsze jest, by zapewnić im jak największy wybieg. Niekoniecznie. Co po dużym płaskim trawniku? Nic. Nuda. Ale też nie można rozpatrywać dobrostanu zwierzęcia wyłącznie na podstawie tego, jaki ma wybieg. Tyle jest innych czynników: opieka, sposób żywienia – nie tylko, co dostają, ale jak jedzenie jest im podawane. Istotne są wreszcie potrzeby danego osobnika w danym dniu. Mamy we Wrocławiu na przykład grupę siedmiu kotików, różnie ze sobą spokrewnionych, każdy z nich jest zupełnie inny. Ich możliwości poznawcze można by – w dużym uproszczeniu – porównać do psów. Mają one do dyspozycji duży basen zewnętrzny, dosyć urozmaicony i głęboki. Mamy też zaplecze z suchymi boksami, zwykle wykorzystujemy je dla matek z młodymi, które nie potrafią pływać; jest jeszcze pomieszczenie z małym basenikiem i wewnętrzne baseny z solankami. Kotiki w ciągu dnia spędzają trochę czasu w środku, trochę na zewnątrz. Ostatnio rano co najmniej godzinę jesteśmy w środku, wtedy też różnie rozdzielamy je do basenów. Dziś na przykład najmłodszy Alfie był z Brunem, Mandisa, nasz najstarszy kotik, była z Zolą, czyli dziewięcioletnią samicą, która ma wiecznie muchy w nosie i jest bardzo charakterna, w trzecim była Nabi z Nalą, a w jeszcze jednym był Nelson. Staramy się, żeby znajdowały się w różnych sytuacjach, niech nawet Zola, którą





denerwuje towarzystwo innego kotika, się irytuje, niech ją to stymuluje w ten sposób. Tak przecież jest w życiu. Różne sytuacje nas spotykają. Błędem jest myślenie, że dla dobrostanu zwierzęta muszą być wciąż szczęśliwe. Powinny mieć urozmaicone życie, to też sposób, by uszanować ich podmiotowość, potrzeby, jakie z niej wynikają. Ostatnio Bruno chciał być w środku i został sam na parę godzin, bo tak zdecydował. One doskonale wiedzą, co to znaczy. Uczą się, że mogą być tam i tu, a czasami mogą być tylko tam albo tylko tu. Inaczej nie moglibyśmy bez stresu ich odizolować, gdy są chore lub coś je boli. Bo tak czy inaczej, praca opiekuńcza zakłada jednak pewną relację władzy. Tu mi się czasem rozjeżdża humanistyczny aparat pojęciowy z praktyką opiekuńczą. Ale może tylko pozornie.

Problem pracy opiekuńczej, który wraca w naszej rozmowie, jest szalenie ważny i w refleksji nieantropocentrycznej zdecydowanie zbyt rzadko podejmowany w kontekście opieki nad zwierzętami, zresztą nie tylko w ZOO. Pojawia się czasem w związku z etyką troski. Zawiera się w nim też kwestia obciążenia emocjonalnego opiekunów i opiekunek, związanego na przykład z doświadczeniami pożegnań z umierającymi zwierzętami i tymi, które zmieniają ogród zoologiczny – o czym zresztą piszesz wielokrotnie, gdy kotik Hugo wyjeżdża do ZOO w Turcji, gdy w Krakowie umiera lew Bąbel. A do tego dochodzi to, co zwyczajne w codzienności i dlatego niezauważane: różne temperamenty, zmienne nastroje zwierząt i ludzi, gorsza lub lepsza dyspozycja, wreszcie sympatie, o których piszesz, że nie mogą rzutować na opiekę.

Trzeba jeszcze powiedzieć, że w impulsive podjęcia pracy opiekuńczej nad zwierzętami jest parę pułapek. Myślę, że powinno się bardzo lubić ludzi, być ich ciekawym, żeby pracować w ZOO. Nie da się pracować ze zwierzętami w pojedynkę. Z wielu powodów. Mamy najróżniejsze ograniczenia, wiedzę, doświadczenia, dlatego pracujemy w zespołach. I to jest największą siłą pracy opiekuńczej. Podobnie jest z pracą z dziećmi. O czym przekonałem się w żydowskiej edukacji nieformalnej. Działanie drużynowe pozwala się uwolnić od ambicji. Oczywiście udaje się to w różnym stopniu. Też z tego powodu ta praca jest właśnie bardzo obciążająca emocjonalnie, psychicznie i fizycznie. Oczywiście ma różne oblicza, inaczej pracuje się w zespole opiekującym się bezkręgowcami, inaczej słoniami. A do tego dochodzą rozmaite jednostkowe doświadczenia poszczególnych zwierząt: ktoś choruje, starzeje się, ktoś urodził się albo wyklął z niepełnosprawnością.

Nie zawsze mamy piękne zwierzęta, czego ludzie by często oczekiwali. A zwierzęta śmierdzą, bywają brudne, bo właśnie bawiły się w piachu albo w ziemi – niedźwiedź polarny jest więc chwilowo brązowy. Często ludzie zapominają, że nasza perspektywa jest im obca. Chodzi o to, że zwykle nie mamy zgody na doświadczenie estetyczne, które nie mieści się w naszych wyobrażeniach o tym, co powinniśmy zobaczyć w ZOO. A to wywołuje dyskomfort, może podobny jak stereotypowe reakcje na widoczną niepełnosprawność. Strasznie mnie to denerwuje. Przecież nie będziemy ukrywać pewnych zwierząt. Nieatrakcyjny jest stary, trzydziestopięcioletni niedźwiedź himalajski, który nie ma zębów i jest brudny, bo je zblendowaną żupę, a poza tym przez cały dzień śpi. To się oczywiście nie zdarza w środowisku naturalnym, ale nie zdarza się też, żeby zwierzęta były odchowane sztucznie na butelce. A te małe, ładne zwierzątka lubimy, chcemy je ratować i patrzeć na nie.

Nie mam za złe, że tak się myśli, ale wolałbym, żeby zwiedzający zamiast wyciągać oskarżające wnioski, na przykład, że niedźwiedź ma za mało miejsca, spróbowali przeanalizować tę sytuację. Może dla bardzo starego niedźwiedzia mały wybieg jest lepszy?

Można by się w takim razie zastanowić, czy ogrody zoologiczne mają szansę zbudować nową narrację o niepełnosprawności i starości zwierząt.

Myszę, że jest właśnie tak, jak to ujęłaś: mają szansę. Wypracowano szereg strategii, które to umożliwiają. Tylko że w Polsce działa bardzo mało ogrodów i są one raczej niedofinansowane. Tak czy inaczej, musi się to odbywać etapami, pomału. Są sposoby, które pozwoliłyby pokazać te starsze zwierzęta albo niewygodne z naszej perspektywy sytuacje w stadach. Na przykład naturalna w grupach niektórych małp – makaków czy pawianów – jest hierarchiczność, w każdej takiej grupie osobniki dominujące będą dużo czystsze od innych, bo podstawą ich relacji jest iskanie siebie nawzajem, a zwłaszcza tych, które znajdują się wyżej w hierarchii. Siłą rzeczy w każdej grupie są małpy usytuowane najniżej w hierarchii, one będą miały zmierzwione futro i generalnie w sensie dobrostanowym będą funkcjonowały inaczej niż wysoko postawione małpy, co jest normalne biologicznie. Jak o tym rozmawiać, jak to brać w ZOO? Z naszej perspektywy ten osobnik jest w bardzo ciężkim położeniu.

I jak uniknąć impulsu ingerencji?



Próba pomocy skazuje taką małą na jeszcze gorszy los. Jeśli chcemy ją podkarmić – najczęściej jest chudsza – sprowadzamy na nią agresję wyżej postawionych osobników, bo to one powinny najpierw zjeść. Z kolei odizolowanie jej mogłoby skutkować tym, że już nigdy nie wróci do swojej grupy ani żadnej innej. A przecież życie w strukturze socjalnej jest dla tych zwierząt podstawą dobrostanu. To są problemy, z którymi się trzeba mierzyć w ogrodach zoologicznych. Bardzo rzadko w Polsce podejmuje się dyskusje na ten temat, z różnych powodów. Ogrody zoologiczne w ogóle działają mało transparentnie. Nie chodzi mi o to, że jakieś sprawy są zamiatane pod dywan, ale można by było wykorzystać pewne sytuacje, żeby próbować rozmawiać. Raczej się tego unika, bo, co oczywiste, nie sposób jednoznacznie rozstrzygnąć tych kwestii.

Na pewno uświadamiają nam one ograniczenia naszej perspektywy. Inna kontrowersja wokół ogrodów zoologicznych wiąże się z podnoszoną często wątpliwością, czy misja ochrony, więc i hodowli zagrożonych gatunków nie stoi w sprzeczności z postulatem opieki nad jednostkami bez względu na ich wartość. Mogłabym zapytać jeszcze inaczej: co ZOO może zaoferować zwierzętom? Albo czy jest w ZOO miejsce dla tak zwanych szkodników?

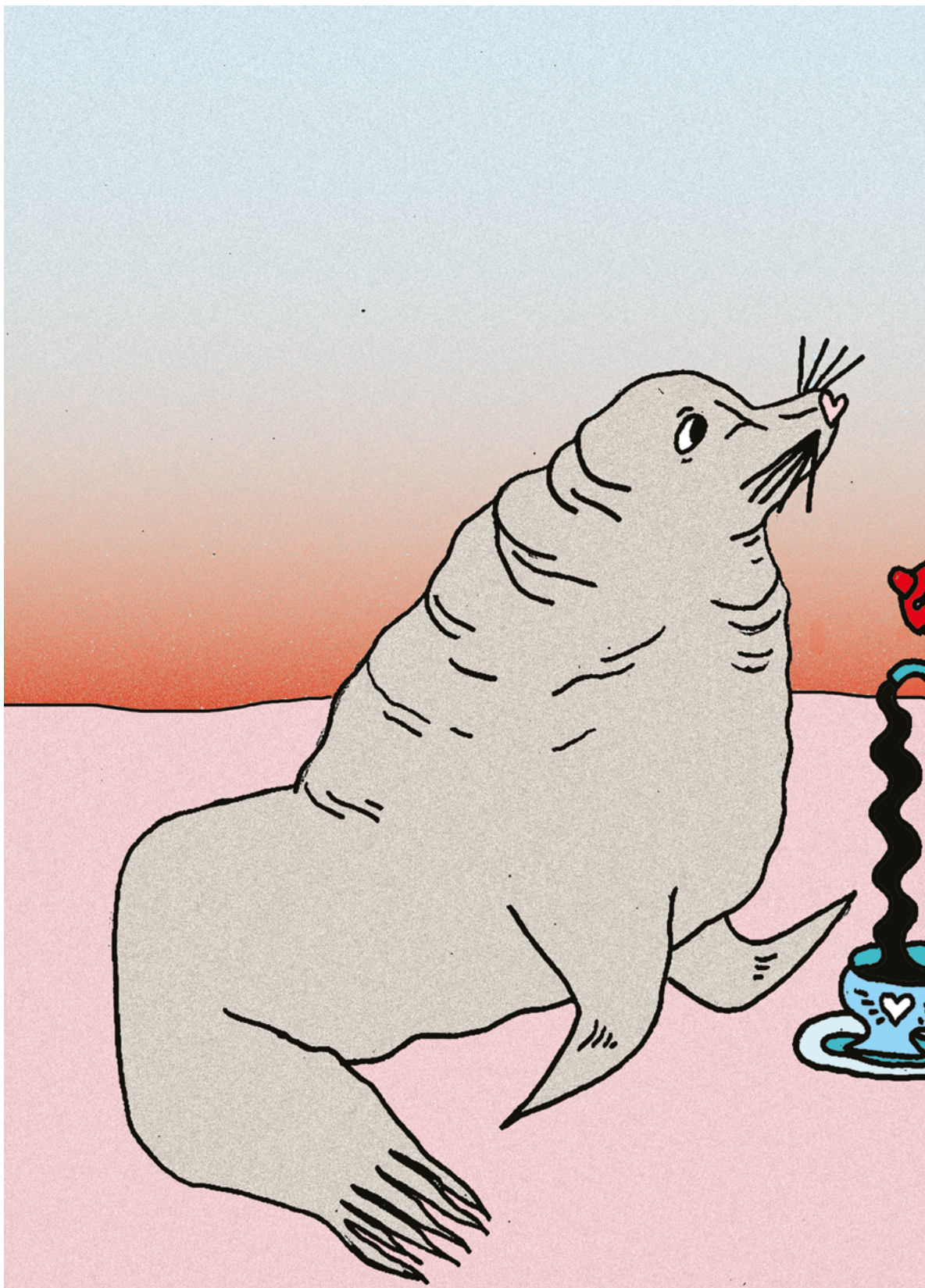
Moim zdaniem troska o konkretny gatunek i opieka nad jednostkami nie wykluczają się. Weźmy przykład hodowanych w Europie żyraf. Osoba odpowiedzialna za ten program na podstawie

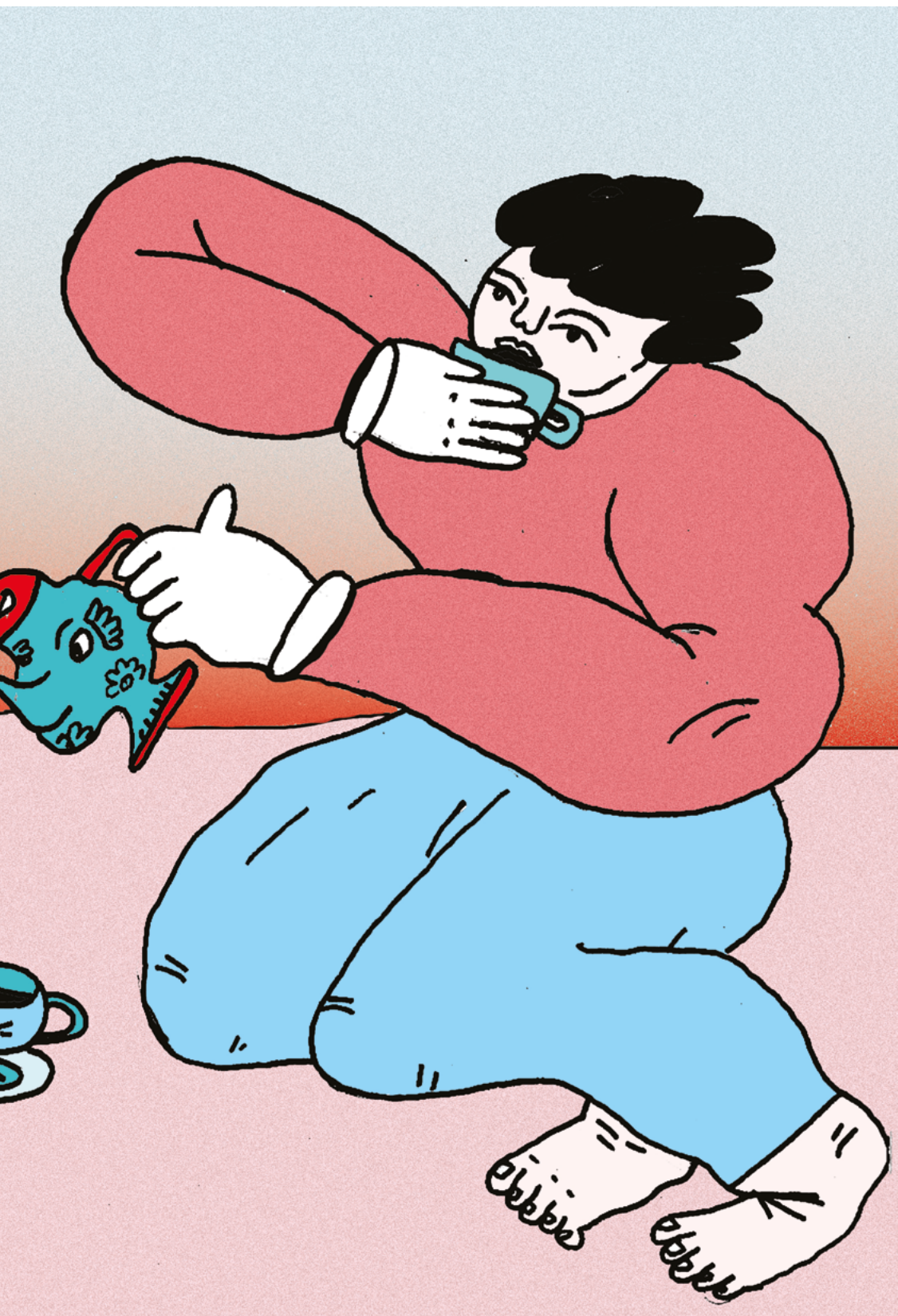
narzędzi statystycznych, czynników genetycznych i tym podobnych rekomenduje do rozrodu osobniki z różnych ogrodów zoologicznych, przy czym bierze się też pod uwagę ich rozmaite indywidualne, osobowościowe dyspozycje. U żyraf zresztą nie będzie to skomplikowane, ich behawior rozrodczy ma charakter haremowy, czyli jest jeden samiec i kilka samic. Ale ponieważ rodzi się mniej więcej połowa samic i samców, to znaczy, że nie wszystkie samce będą się rozmnażały. One jednak też są objęte programem hodowlanym. I stado jednopłciowe w ZOO nie jest niczym gorszym (często od niego zaczyna się wprowadzanie danego gatunku do ogrodu), jasne, że inaczej pracuje się z nim niż ze stadem hodowlanym, inaczej układają się relacje wewnątrzgrupowe. Oczywiście wciąż też zdarzają się dyrektorzy i dyrektorki, którzy traktują to prestiżowo, ambicjonalnie i chcą mieć stada hodowlane, również by móc pokazywać młode. W dodatku nadal pokutuje przekonanie, że jak zwierzęta się rozmnażają, to na pewno jest im dobrze. Ale niezależnie od roli danego osobnika w programie hodowlanym wszystkimi opiekujemy się tak samo.

Pytam o to, mając w pamięci słynną historię sprzed paru lat – żyrafy Malcolma z ZOO w Kopenhadze, który został zabity na mięso. Ale też myślę o rozdzielaniu stada, wysyłaniu danych jednostek do innych ogrodów, gdzie będą się rozmnażać. Czy w porządku jest narażanie ich na taki stres zmiany otoczenia?

Najpewniej, niezależnie od gatunku, będzie to rzeczywiście związane ze stresem. Tylko czy to jest jednoznacznie złe? Stres jest częścią życia, biologicznie jest potrzebny. Oczywiście, problem w tym, że to my decydujemy. Ale musimy być konsekwentni, nie możemy uciekać od odpowiedzialności, jaką wzięliśmy na siebie już wcześniej.

A co do Malcolma, nie jest to takie proste. Zabicie zwierzęcia jest oczywiście złe. Ale może trzeba spojrzeć na te sprawy szerzej. Są takie ogrody, gdzie, gdy jest nadliczbowa grupa młodych jeleni, zabija się młode samce i karmi nimi duże drapieżniki. Tylko że dla nich i tak trzeba kupić mięso, które będzie pochodzić z rzeźni. A takie zwierzęta zabite w ZOO miały jak najlepsze życie, pozbawione cierpienia zwierząt w ubojniach. Dodatkowo wielkie koty mogą w takiej sytuacji dostać ciało ze skórą, sierścią, co jest ważne dla ich zdrowia. Nie mam z tym problemu, na pewno większy problem mam z tym, że ktoś, kto jest opiekunem czy opiekunką, uważa, że taka praktyka jest jednoznacznie zła. Bo to jest pójście na łatwiznę. Tak czy inaczej, duże drapieżniki, którymi się zajmujemy, muszą coś zjeść. Jedyna różnica jest taka,





że nie uczestniczymy w zabijaniu zwierząt, których mięso kupujemy. Oczywiście nie jest tak, że wiem, jakie rozwiązanie będzie najlepsze. Czuję tę niesprawiedliwość. Jednak trzeba mieć świadomość, że poruszamy się po polu minowym. Musimy brać pełną odpowiedzialność za zwierzęta, którymi się zajmujemy. Z tą myślą chodzę do pracy.

W skandynawskich ogrodach zoologicznych powszechne jest też – gdy umrze jakieś zwierzę – wysyłanie zaproszeń do okolicznych szkół na sekcję zwłok, co uważam za bardzo pożyteczną praktykę. Raczej pułapką, kłamstwem jest opowiadanie o zwierzętach z pominięciem spraw śmierci i zabijania.

W Pawilonie... wspominasz, jak w dzieciństwie po lekturze *Złapcie mi gerezę* Geralda Durrella napisałeś list do ówczesnego dyrektora warszawskiego ZOO i opowiedziałeś o swoich planach, by „otworzyć własne i najlepsze ZOO”, a 30 września 2021 roku notujesz w dzienniku, że śniło Ci się własne małe ZOO. To spróbujmy pofantazjować, jak wyglądałoby Twoje idealne ZOO.

Bardzo często o tym myślę, właściwie nie ma dnia, żebym się nad tym nie zastanawiał. I oczywiście nie da się tego określić w jednym zdaniu, tak samo jak trudno mi powiedzieć, kiedy ktoś mnie pyta, jakie ZOO jest dobre, do jakiego iść. Nie da się tak rozmawiać. Mogę podpowiedzieć, na co warto zwrócić uwagę, będąc w ZOO.

Bardziej niż zaprojektować idealne ZOO, mogę więc chyba określić, co lubię, gdy ogrody zoologiczne robią. Przede wszystkim lubię, gdy są wyspecjalizowane i ukierunkowane, mają raczej małe kolekcje zwierząt, skupiają się na wybranych gatunkach. Na to składa się wiele czynników: świadomość kompetencji kadry, warunki naturalne – usytuowanie terenu, na przykład nadmorskiemu ZOO łatwiej i taniej jest sprowadzić świeże ryby dla rybożernych zwierząt, a ogród zoologiczny w środku lasu, który ma nieograniczony dostęp do gałęzi, będzie predysponowany, by hodować gatunki leśne, liściożerne. Może pozwolić sobie na magazynowanie ich na zimę. Ważne też wydaje mi się, żeby zwiedzający mogli patrzeć na zwierzęta z poziomu, na jakim się one znajdują. Więc takie, które prowadzą nadrzewny tryb życia, powinny być oglądane z wysokości drzew. I to wcale nie musi być dla nas wygodne. Może nawet lepiej, żeby nie było. Dalej: nie lubię ogrodów, gdzie wybiegi są mało urozmaicone, choć właściwie w każdym ZOO taki wybieg się znajdzie. W moim wymarzonym ZOO byłoby też ogromne zaplecze hodowlane, dające wiele możliwości oddzielania zwierząt, prowadzenia ich w taki sposób, by miały ciekawe życie. W USA jest kilka ogrodów z rotacyjnymi



ekspozycjami, co polega na tym, że różne zwierzęta przebywają codziennie na różnych wybiegach, w zmieniającym się środowisku i towarzystwie gatunkowym. Jest to dla nich angażujące. Ale oczywiście trzeba brać pod uwagę bezpieczeństwo. Dlatego drażni mnie łączenie niedźwiedzi z wilkami, to się rzadko udaje, skutkuje dużą śmiertelnością. Niedźwiedzie często zabijają wilki, zwłaszcza te postawione najniżej w hierarchii. Inaczej należałoby opowiadać o ekosystemie leśnym, gdzie mamy więcej niż jednego takiego drapieżnika. Oczywiście często hodowla jest błędem. Ale moje wymarzone ZOO podejmuje się hodowli takich zwierząt, na jakie je stać.

Do przemyślenia jest wciąż ekspozycja i hodowla zwierząt o możliwościach intelektualnych zbliżonych do naszych: słoni czy małp człekokształtnych. To się zresztą wciąż zmienia, bo dynamicznie zmienia się nasz stan wiedzy na temat tych gatunków. Być może niektóre zwierzęta nie powinny być hodowane w ogrodach zoologicznych. Trudno im zapewnić dobre warunki

życia. W przypadku małych człekokształtnych, o ile można ogólnie mówić o tak różnych gatunkach, potrzebny jest na pewno skomplikowany system pomieszczeń z możliwością łączenia ich i dzielenia, ewentualnie stworzenia dwóch grup z jednej grupy.

Tu zaraz nasuwa się pytanie o kryterium podobieństwa do ludzi. Czy hodowla tylko tych zwierząt w ZOO nasuwa wątpliwości etyczne?

Nie, nie chodzi wyłącznie o podobieństwa. Myślę na przykład o gatunkach, które potrzebują wędrować, jak wilki, niedźwiedzie polarne. Nie wiemy jeszcze, jak symulować migracyjność.

Czy uważasz więc, że w takich przypadkach najlepszym rozwiązaniem byłoby ZOO funkcjonujące na zasadzie azylu, dające schronienie zwierzętom uratowanym, niezdolnym do samodzielnego życia?

To się dzieje. Wiele ogrodów w ten sposób już funkcjonuje. Wyobrażam sobie i mam nadzieję, że za dziesięć lat większość ogrodów zoologicznych nie będzie miała słoni. Niewiele z nich potrafi zapewnić im dobre warunki. Dziś ciągle jeszcze żyją te sprawadzone w ramach brutalnych, dewizowych transportów, o których rozmawialiśmy.

Rozumiem więc, że dystansujesz się od rozmnażania przynajmniej niektórych gatunków w niewoli?

Niekoniecznie. Hodowla słoni afrykańskich i indyjskich jest w ogrodach w miarę stabilna. Ale na pewno będzie ich mniej. Zasadniczo obserwuje się specjalizację. Kiedyś było tak, że każdy ogród miał pewien określony, powtarzający się zestaw gatunków. Na szczęście odchodzi się od tego. To jest już skrajnie antropocentryczny pomysł, że przyjdziemy i odhaczymy osobniki, a nie – spotkamy się, nauczymy czegoś, nawet nie wiemy jeszcze czego, o sobie, o nich, o środowisku.

Bardzo lubię, gdy w ogrodach prowadzi się tak zwane małe ZOO, przypominające farmy, gdzie ludzie mają bezpośredni kontakt ze zwierzętami, które są niegroźne. Myślę, że to najważniejsze, co możemy dać w obszarze edukacji. W amerykańskich ogrodach zoologicznych często żyją „zwierzęta programowe”, czyli oswojone z obecnością ludzi. Uczestniczą one w żywych lekcjach przyrody. Nie chodzi o robienie z nich atrakcji do zdjęć, ale o możliwość spotkania. Kiedy jako trzynastolatek byłem wolontariuszem

w gdańskim ZOO, w dziale edukacyjnym, Grażyna Naczyk robiła coś takiego, gdy nikt jeszcze o tym nie mówił – wychodziliśmy ze wszystkimi zwierzętami z małego ZOO na spacer do lasu bez żadnych smyczy. Tych doświadczeń nigdy nie zapomnę. One mnie ukształtowały. Wtedy właśnie dowiedziałem się wielu rzeczy – o sobie, co myślę, czego chcę i co może wynikać ze spotkania ze zwierzętami.

Wielokrotnie zresztą wracasz do tych wspomnień w *Pawilonie*...

Takie ZOO mogłoby być mobilne, inkluzyjne – przyjeżdżać do szkół, do seniorów. I nie chodzi tu o specjalistyczne lekcje biologii. Inny przykład: w jakimś ogrodzie zoologicznym organizuje się czytanie książek dla małych dzieci, w czym biorą udział kaczki. A starsze dzieci z kolei mogą samodzielnie czytać tym kaczkom. Tego bym chciał w ogrodach zoologicznych. Nie specjalnych efektów, rozrywek, kolejek górskich. Bo ZOO jest jednak przede wszystkim miejscem nauki, spotkań ze zwierzętami, ale na ich zasadach.

Właśnie! Piszesz o pogadankach dla seniorów o zwierzętach, które przeprowadzałeś. Czy mógłbyś o tym opowiedzieć?

Tych spotkań nie było dużo. Coś podobnego robiłem też w ramach żydowskiej edukacji nieformalnej dla młodzieży. W czasie pandemii żydowska samopomoc społeczna wymyśliła spotkania zdalne dla seniorów, między innymi o zwierzętach. Kiedyś na przykład wziąłem komputer do pracy i zabrałem przed ekran pingwina, jednego z tych, które chętnie z nami spędzają czas. Opowiadałem o ich biologii, zwyczajach.

Mam wrażenie, że szukasz takiej narracji o ogrodzie zoologicznym – ale i pomysłu na jego działalność – która będzie bardzo relacyjna, międzygatunkowa i wewnątrzgatunkowa.

Tak, trochę to ściągam z nowej muzeologii, dla której podstawową sprawą jest stworzenie społeczności wokół siebie.

Może w takim razie część zarzutów wobec ogrodów zoologicznych wynika z przeświadczeń, jakie na nie projektujemy, soczewek, przez jakie na nie patrzymy. Zatem gdyby jeszcze raz nieco przeformułować to, o czym teraz rozmawiamy, i zapytać, jak spacerować po ZOO alternatywnie z poszanowaniem zwierzęcej podmiotowości, co byś zaproponował?





Sposób ekspozycji wiele narzuca, trudno, by zwiedzający zbaczali ze ścieżek dla nich wyznaczonych. Ale po pierwsze, warto przyjść w najbrzydszą pogodę, bo jest wtedy mało ludzi. Po drugie, trzeba od siebie wymagać cierpliwości i mieć czas. Ludzie często patrzą na dane zwierzę maksymalnie minutę i mają już zdanie na jego temat. Nic im nie zgrzyta. Szybko oceniają jego samopoczucie, dobrostan, na przykład kiedy leży, zakładają, że jest nieszczęśliwe, a przecież to może być pora, gdy odpoczywa, przecież my też bywamy mniej lub bardziej aktywni – w ciągu dnia czy roku. Ciekawe, że właśnie w takich sytuacjach nie potrafimy wyciągnąć wniosków z podobieństw między nami. Po trzecie, wydaje mi się, że dobrym pomysłem jest wcześniejsze zaznajomienie się z tym, jak wygląda ogród zoologiczny, do którego się wybieramy, i zdecydowanie, z którymi zwierzętami chcemy się spotkać czy też obserwować.

Poza tym jeśli dane miejsce nie jest zaprojektowane tak, żeby nawiązać kontakt ze zwierzęciem, tobym nie próbował. Dużo więcej można się dowiedzieć, jak się pozwoli temu zwierzęciu zdecydować, czy ono chce podejść, czy nie. Właściwie nawet jeśli jest możliwość zbliżenia się do płotu, to może nie robmy tego od razu, zobaczymy, jak zwierzęta reagują.

Jeśli możemy się czegoś nauczyć o sobie, to na pewno zadawania sobie pytań. Ludzie zwykle nienawidzą klatek. Za to kiedy zwierzę żyje na wyspie, choćby najuboższej, chętnie zakładają, że jest mu dobrze. Kraty są barierą, która nas razi. A na przykład dla gibona i kraty, i woda będą podobną granicą. Ale z punktu widzenia trybu życia gibona właśnie woliera okazuje się korzystniejsza, bo pozwala choćby częściej zmieniać stymulujące elementy, więc jego dobrostan może być lepszy niż na wyspie, gdzie znacznie rzadziej wymienia się zabawki. Można się więc nad sobą zastanowić, dlaczego mi to przeszkadza. A zwierzęciu? Niekoniecznie przecież rezygnacja z krat musi świadczyć o uszanowaniu ich podmiotowości – i odwrotnie: kraty niekoniecznie stawiają zwierzę w pozycji ofiary czy więźnia. Przecież zwierzęta nie mają takich skojarzeń. Czyj to więc problem? Dużo jest takich pułapek, podobnie z powierzchnią wybiegów, o czym już wspominałem. Wynika stąd, jak dalece projektujemy perspektywę zwierząt.

Wszystko to wiele też mówi o naszych wyobrażeniach o tym, co jest naturalne, a co nie. W ogóle o potrzebie utrzymywania fałszywej opozycji natura–kultura, która przecież szczególnie w ZOO tak czy inaczej jest rozmywana.

Kiedy patrzymy z zewnątrz, zwykle nie wiemy, jakie zachowania rzeczywiście są naturalne. Najczęściej oceniamy na podstawie wrażenia estetycznego, stereotypowych przeświadczeń.

W Pawilonie... pół żartem w kontekście mistrzostw Europy w piłce nożnej deklarujesz, że zawsze kibicujesz grupom marginalizowanym. Chciałam zapytać zupełnie serio o coś, co nadal może wydawać się kontrowersyjne: czy widzisz związek między nie tylko swoim zainteresowaniem historią Żydów, Ocalałych z Zagłady, a opieką nad zwierzętami?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Oczywiście, widzę, ale też nie od dawna, że moje zainteresowania mniejszościami się łączą. Długo nie było to jednak świadome. Nie przeszkadza mi też, nie obraża mnie to skojarzenie sytuacji ludzi i zwierząt. Tylko że chyba nie wydaje mi się, by było to powiązane, albo jeszcze tego nie wiem. Po prostu w tym się urodziłem, nikt się mnie nie pytał, czy chcę urodzić się w rodzinie z bagażem takich, a nie innych doświadczeń albo czy chcę mieć taką orientację psychoseksualną. Ale możliwe, że zainteresowanie podmiotowością, prawami zwierząt wynika z mojej sytuacji, z moich doświadczeń. Staram się być w porządku wobec ludzi, więc wobec zwierząt też chciałbym być w porządku.

To dobra puenta. Dziękuję za rozmowę.



30 stycznia i 13 lutego 2023 r.

